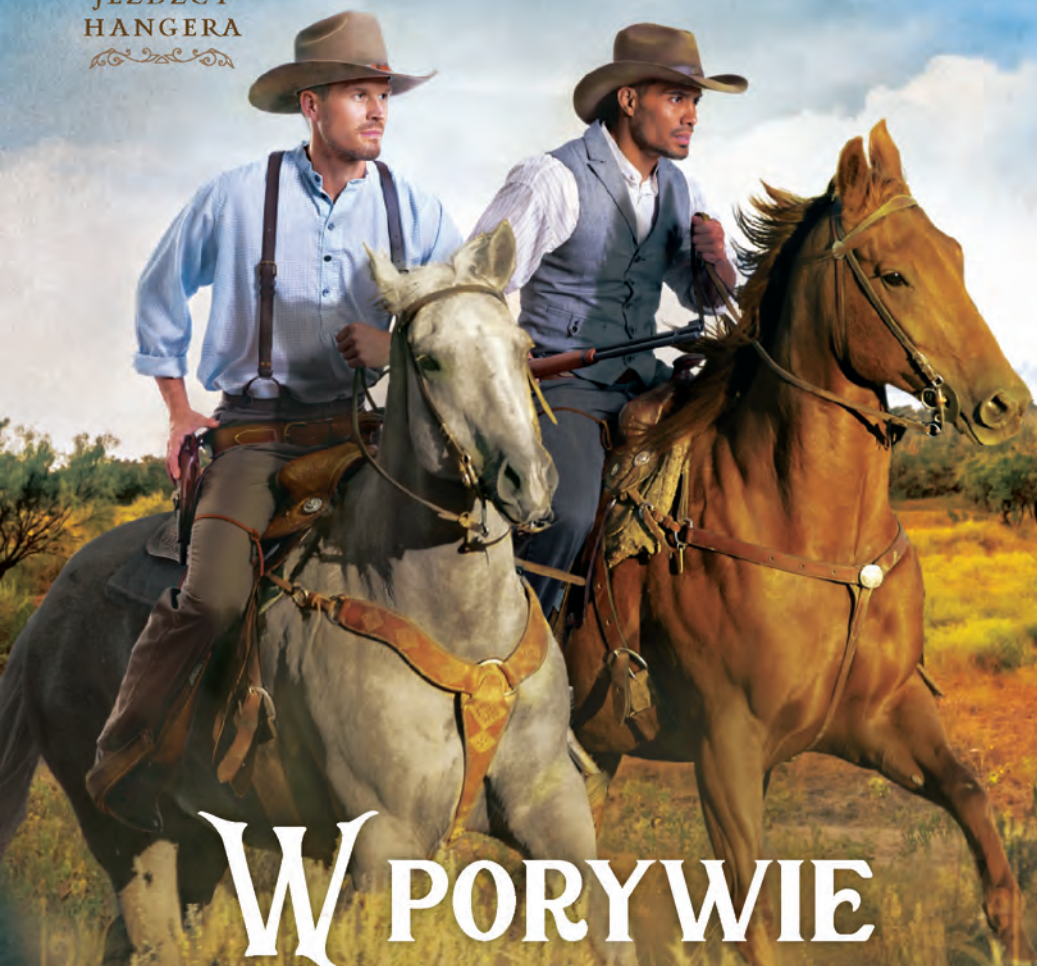
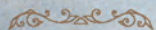


JEŹDŹCY
HANGERA



W PORYWIE
SERCA
KAREN
WITEMEYER

d



Tytuł oryginału:

The Heart's Charge (Hanger's Horsemen #2)

Autor:

Karen Witemeyer

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Magdalena Peterson

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

ISBN 978-83-66977-90-7

Cover design by Dan Thornberg, Design Source Creative Services

© 2021 by Karen M. Witemeyer by Bethany House Publishers,
a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A

© 2024 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2024, wydanie I

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

Wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.



TŁUMACZYŁA MAGDALENA PETERSON

*Ujmijcie się za sierotą i uciśnionym,
wymierzcie sprawiedliwość nieszczęśliwemu i ubogiemu!
Uwolnijcie uciśnionego i nędzarza,
wyrwijcie go z ręki występnych!*

Ps 82,3–4

Czterem osobom, bez których nie mogłabym napisać tej książki.

Toni i Jamie – dwóm niesamowicie utalentowanym kobietom. Dzięki Waszej mądrości i cierpliwości ten projekt zyskał perspektywę, której mi brakowało. Wasze prowadzenie było odkrywczym, osobistym i stanowiło dla mnie wielki dar. Jeśli w tej ukończonej wersji czegoś brakuje, to wyłącznie moja wina.

Johnowi i Randy'emu – Wasza wiedza na temat historii hrabstwa Llano oraz chęć podzielenia się źródłami pozwoliła, by miejsce akcji ożyło. John – scena na moście nigdy by się nie wydarzyła, gdyby Twoje badania historyczne nie pobudziły mojej wyobraźni. Dziękuję Wam obu!

1



HRABSTWO LLANO, TEKSAS

WIOSNA 1894

Kiedy Mark Wallace wyjeżdżał z Gringolet dwa dni temu, żeby dostarczyć wałacha bogatemu hodowcy koni na zachód od Llano, nigdy nie sądził, że zostanie wezwany do pomocy przy narodzinach dziecka. Oraz że kobieta mająca zaraz urodzić będzie wymachiwać pistoletem pomiędzy nim a jego przyjacielem, Jonahem, jakby próbowała zdecydować, którego z nich zastrzelić jako pierwszego.

– Wynoście się stąd! Nie chcę waszej pomocy! – Jej twarz wykrzywił grymas. Wydała z siebie stłumiony jęk, obejmując lewą ręką wydatny brzuch.

Być może nie chciała ich pomocy, ale wyraźnie jej potrzebowała. Wyglądała na wyczerpaną – wypłuta i zmięta.

Mark, pokazując wnętrza otwartych dłoni, zrobił krok do przodu.

– Spokojnie. Nie chcę pani zrobić krzy...

Pistolet wypalił.

Mark się wzdrygnął. Zauważył, że lufa była skierowana w górę, ale i tak zerknął przez ramię, żeby upewnić się, że jego towarzysz nie odniósł żadnych ran. Jonah skinął głową,

jednocześnie trzymając dłoń na swoim rewolwerze, gotowy do obrony, gdyby okazało się to konieczne.

Mark miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wprawdzie znajdująca się przed nimi ciężarna zachowywała się w tej chwili, jakby brakowało jej piątej klepki, ale džentelmen nigdy nie powinien porzucić kobiety w potrzebie. Nawet jeśli ta do niego strzela.

Wydawało się, że huk wystraszył ją podobnie jak jego. Wytrzeszczyła oczy, a ręka trzymająca broń zadrżała. Mark wykorzystał tę sytuację, rzucił się naprzód, chwycił ją za nadgarstek i wytrącił pistolet. Krzyknęła, zaczęła kopać i uderzać go pięściami w klatkę piersiową i brodę, ale on nie zważał na te ciosy. Aż do chwili, kiedy kobieta o mało nie wybiła mu lewego oka. Tego nie mógł już zignorować, bo przecież wzrok był mu potrzebny. Szczególnie że miał do czynienia z osobą w wyjątkowej sytuacji, która zachowywała się, jakby postradała zmysły.

Starając się nie zrobić jej krzywdy, unieruchomił jej ręce za plecami i delikatnie, chociaż stanowczo popchnął ją w kierunku niszczonej chaty.

– Nie! Nie chcę was tu. Tylko aniołowie mogą wejść. – Szarpała się z nim.

Aniołowie? Mark wierzył w istnienie tych nadprzyrodzonych istot, ale sposób, w jaki mówiła o nich ta kobieta, był daleki od zdrowego rozsądku.

Prawdę mówiąc, nic tutaj nie wydawało się logiczne, odkład ukazała się w drzwiach chaty w koszuli nocnej, z rozpuszczonymi włosami i pistoletem w ręce. Mark i Jonah zatrzymali się przy pobliskim strumieniu, żeby napić konie, kiedy usłyszeli pełne bólu krzyki i podjechali sprawdzić, co się dzieje.

Całe szczęście, wałach, którego mieli dostarczyć, nie był już pod ich opieką. Nabywca odebrał swoją własność godzinę wcześniej w Llano, więc nie musieli już zaprzętać sobie głowy zwierzęciem wartym więcej niż półroczne zarobki, kiedy siłowali się z ciężarną kobietą.

Właśnie siłowanie się było tym, co teraz robił Mark. Drobna, ciemnowłosa kobieta była złana potem i niemal zgięta w pół, ale cały czas się z nim mocowała.

– Przepraszam za to niezbyt delikatne traktowanie – tłumaczył się, powoli prowadząc ją przez próg.

Straciła równowagę, próbując nadepnąć na jego but bosą piętą, i przewróciłaby się, gdyby nie podtrzymał jej i nie pomógł ustać.

– Powinna pani być w łóżku.

Chyba w takim miejscu miała się znajdować rodząca kobieta? Pamiętał, jak jego matka zaszyła się w swoim pokoju, kiedy miała się urodzić jego młodsza siostra. Nie żeby miał choć blade pojęcie na temat tego, co naprawdę tam się działo, poza tym, że dochodziły stamtąd pojękiwania, a od czasu do czasu jakiś krzyk.

Słyszał, jak Jonah wszedł na werandę i zabezpieczył broń, która wypadła.

– Szkoda, że nie ma tu doktor Joe – wymamrotał Mark, przekonany, że byłoby im znacznie łatwiej, gdyby towarzyszyła im teraz Josephine, którą niedawno poślubił Matt Hanger. Nie tylko była kobietą, ale jego zdaniem również najlepszą lekarką w Teksasie. Uratowała mu życie, a najprawdopodobniej również rękę po tym, jak omal nie zabiła go kula koniokrada.

Kapitan ożenił się z nią w zeszłym roku i zgodził się zostać współnikiem jej ojca w Gringolet Farms, hodowli koni ulubionej przez amerykańską kawalerię. Nowa posada kapitana

Hangera dawała pozostałym Jeźdźcom poczucie stabilności, którego brakowało im w ciągu ostatnich lat, po wydarzeniach nad Wounded Knee. Przyjmowali wówczas zlecenie za zleceniem, zatrudniając się u ludzi, którym stróże prawa nie potrafili lub nie zamierzali pomóc.

Markowi nie przeszkadzało obecne zajęcie. Uwielbiał przecieć konie, ale ta stałość – to już zupełnie inna historia. Ciągnęło go do zmian. Do odkrywania nowych terytoriów. Lubił życie, które teraz wiódł. Dobrą pracę, przyjaciół, od czasu do czasu jakieś zlecenie dla Jeźdźców Hangera, żeby zaspokajać głód przygód. Jednak coraz trudniej było zignorować tę się w głębi serca pragnienie. Nie miał nic przeciwko zapuszczeniu korzeni, tylko nie znalazł jeszcze odpowiedniej gleby. Miał dwadzieścia osiem lat i zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją znajdzie.

– Może powinieneś zdać sobie sprawę z braku umiejętności połoźniczych, zanim zainterweniowałeś – burknął Jonah, obchodząc Marka i wiercącą się kobietę, która próbowała właśnie uderzyć go łokciem w brzuch.

Obrzucała Marka wyzwiskami nawiązującymi do wszelkich obrzydliwych zwierząt, od skunksa poprzez ropuchę aż po żmiję. Niektórych użyła nawet kilkakrotnie. „Obślizgły pożeracz pomrowów” było chyba jej ulubionym, bo pojawiło się co najmniej trzy razy. Trzeba było przyznać, że potrafiła dopieć słowami. Nie żeby jej słowne pociski miały go jakkolwiek spowolnić. Jego zadaniem było doprowadzić ją do łóżka, które znajdowało się kilka metrów dalej, a jako prawdziwy kawalerzysta nie mógł pozwolić na to, żeby cokolwiek przeszkodziło mu w zrealizowaniu podjętej misji.

– To, że jeździsz na białym koniu – wydusił Jonah, poprawiając wymiętą pościel – nie oznacza, że masz się zawsze

pojawiać jako waleczny rycerz. Nie wszystkie kobiety są niewinnymi damami. Pomyśl o Izebel, Dalili czy Belle Starr¹.

– Cooper jest siwy, a nie biały – poprawił go Mark. Zrezygnował z prób doprowadzenia kobiety, tylko po prostu ją podniósł. Prawy bark zaprotestował przeciwko dodatkowym kilogramom, a miejsce zeszłorocznej rany postrzałowej dało o sobie znać w wyraźnie bolesny sposób. Skrzywił się, ale zignorował przeszywający ból. Nie było to trudne, bo wierzące pięty i łokcie wymierzały mu ciosy w wiele innych miejsc. – A ja nie jestem żadnym rycerzem w lśniącej zbroi. – Zdecydowanie. Szczególnie że nie udało mu się uratować tej jednej kobiety, która była dla niego najważniejsza. – Jestem jedynie mężczyzną, który czuje się w obowiązku pomóc słabszej płci w sytuacji, gdy jest ku temu sposobność.

– Nie jestem słaba! – Drobną pięść wylądowała na jego łożu.

Niespodziewany cios sprawił, że przygryzł sobie język.

– To jest wyraźnie widoczne – odparł, czując przeszywający ból.

Całe szczęście, znalazł się już przy łóżku i mógł się pozbyć niewdzięcznego ciężaru.

Mimo zapewnień o sile cała waleczność uszła z kobiety, kiedy tylko dotknęła materaca. Skuliła się i zaczęła kołysać.

– Boli.

Mógł sobie wyobrazić, że tak jest.

Ulżyj jej w cierpieniu, Panie, i pokaż mi, jak mogę jej pomóc.

Kiedy chwyciła się lewą ręką za brzuch, promienie słońca wpadające przez otwarte drzwi odbiły się od czegoś złotego. Obrączka.

¹ Izebel i Dalila to negatywne postacie biblijne, Belle Starr była rewolwerowcem i koniokrądem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Gdzie jest pani mąż?

To ten człowiek powinien tu przecież być, a nie on czy Jonah. Może mogliby znaleźć i przyciągnąć tu tego żalosego i nieodpowiedzialnego jegomościa, żeby zajął się żoną, która właśnie rodziła jego dziecko.

– Wendell? – Uniosła głowę, a na jej ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Wendell zaraz się tu zjawi. Miał się tu ze mną spotkać. Mamy już wszystko umówione. Muszę tylko pozbyć się dziecka.

Pozbyć się...? Mark gwałtownie spojrzał na Jonaha. Jego opanowany przyjaciel zwykle był skryty, ale nawet on nie potrafił zamaskować zdziwienia. *Na pewno nie chodziło jej o to, co powiedziała. Chyba miała na myśli urodzenie dziecka. Przyjście na świat niemowlęcia, które było już na to gotowe. Musiało chodzić o to. Żadna zdrowo myśląca matka nie...*

– Aniołowie zaopiekują się naszym dzieciątkiem – powiedziała, chociaż jej usta wykrzywiły się, a ciało napięło. Musiała odczuwać kolejny skurcz. Jej oddech był nieregularny, a pięści zacisnęły się na pościeli. – Słyszysz mnie, Boże? Czas przysłać aniołów, których obiecałeś. – Odchyliła nagle głowę w tył, a na jej szyi uwidoczniły się żyły. – Odegrałam moją rolę. Teraz czas, żebyś Ty... zrobił swoją część... i dotrzymał umowy... bo dziecko... zaraz będzie.

Jonah skierował kroki ku drzwiom.

– Sprowadzę lekarza.

A Mark zostanie sam z szaloną rodzącą kobietą? Nie ma szans.

– To ja powinienem iść – odezwał się Mark, odsuwając się od łóżka i ruszając za Jonahem. – Wychowałeś się na farmie, prawda? Przynajmniej trochę wiesz, o co tu chodzi. Ja nie wiem zupełnie nic...

– Jesteś biały – odparł Jonah. Skinął w kierunku kobiety. – Ona też jest biała. Nie możesz zostawić czarnoskórego mężczyzny sam na sam z białą kobietą. Gdyby ktoś się dowiedział... – Nie musiał kończyć. – Albo ja idę, albo idziemy razem – stwierdził stanowczo. – Nie ma trzeciej opcji.

Mark zawstydził się, że obawy przed własną niekompetencją przesłoniły mu zdrowy rozsądek. Skinął głową.

– Masz rację. Przepraszam. Zostanę.

Zerknął na kobietę, która mamrotała coś pod nosem i wierciła się na materacu.

– Idę, Wendell – powtarzała. – Już idę.

Nie miał pojęcia, jak jej pomoże, ale nie mógł zostawić jej samej. Było powszechnie wiadomo, że nawet silne i zdrowe kobiety umierały przy porodach, a nie dało się przewidzieć, co się stanie z tą biedaczką.